ROCCZNIK XXXI. Luty 1909. Nr. 2.

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
Galicyjskiego Towarzystwa OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ul. Ossolińskich 11. Wszystkie pisma należy adresować do sekretarza: R. Ciszewski Kochanowskiego 7a, zaś wkładki i prenum. do skarbnika A. Mussil, ul. Kar. Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego.

Redaktor: Józef Białynia Chołodecki Lwów, ul. Ossolińskich l. 11.

Dr. Kazimierz Lubecki.

Nasza zasada.

Nam, przyjaciołom zwierząt, nie trzeba dalszych argumentów dla sprawowania opieki nad zwierzętami; zasada dobroci dla zwierząt trwa w nas własną swoją mocą, pięknem i prawością. Usprawiedliwianie jej, skądkolwiekbądź czerpane, jest dla nas zbędne. Wiemy z wielką pewnością najgłębszego przekonania i z wielką żywością serdecznego uczucia, że jak najczynniejsza dla zwierząt życzliwość jest dobra, a krzywdzenie ich złe. Przyjaźń dla zwierząt jest jednym z pierwiastków naszego charakteru, należy do fundamentów całego naszego usposobienia. To nasza zasada głęboka, samoistna i wielka.

Zapewne, że gdyby chcieć dowodów na jej potrzebę, znalazłoby się ich mnóstwo. Obfituje w nie każda kultura, promienieje tą dobrocią metafizyka i etyka braminizmu i buddyzmu, islam i żydowstwo wezbrane jest życzliwością dla zwierząt. Cywilizacya chrześcijańska pełna jest moralnych nakazów i najszlachetniejszych przykładów nieodzownej ku zwierzętom przychylności. Napróżno mędrkowałby katolik, że obroną zwierząt wobec spraw ważniejszych zajmować się nie warto: chciałby widać być mędrszym, niż Salomon, św. Jan Złotousty i św. Tomasz z Akwinu, a świętszym od Jana Ewangelisty, od Pawła Pustelnika i Franciszka Serafickiego, a pra-

wdziwszym katolikiem, niż Papieże: Pius V., Leon XIII. i Pius X. Boć Pismo święte, Ojcowie i Doktorowie Kościoła wyraźnymi wywodami, a najświątobliwsi chrześcijanie czynnym wzorem, a Papieże bullami i błogosławieństwami polecili wszystkim wiernym litość dla zwierząt.

Tylko nieuk może wątpić w racyę ochrony zwierząt. Tylko ten, kto zupełnie nie tknął filozofii, może dla zwierząt być, jak kamień: tylko ten, co nie zna nawet Platona, Arystotelesa, św. Augustyna, Leibniza, Kanta lub Schopenhauera. Tylko taki, który nie patrzał na przyrodę, ani nawet o niej nie czytał, i tylko taki, który nie skosztował poezyi, może się dopytywać o argumenta. Boć cały chór badaczy, rozstrząsających tajniki natury, jednozgodnie z mistrzami opiewającymi jej powszechną piękność, przemawia za zwierzętami i siłą rzeczy budzi dobroć dla nich. Aby dla kwestyi zwierząt czuć się obcym, trzebaby też chyba nic nie wiedzieć o jej doniosłości dla wychowania: dla wychowania dzieci, jak to wykazał Froebel dla wychowania społeczeństw, jak to wykazał Herder. Trzebaby zamknąć oczy na całą historyę, w której najgroźniejsze okrucieństwa zawsze są przygotowane przez krwawe na zwierzętach rozrywki.

Więc nie brak uzasadnień i powag, przykazań i doświadczeń. I chętnie posługujemy się niemi, by srogość dla zwierząt łagodzić. Z ogromnem uszanowaniem oceniamy wartość i skuteczność tych argumentów. Pocieszamy się i rozradowujemy, widząc ich wielość i siłę. Ze źródeł wiary, mądrości i piękna wypływa ów balsam, leczący niedolę zwierząt i zarazem uszlachetniający serca ludzkie.

Idea ta nie jest jednak wyłączną własnością żadnego z systemów i żadnej z cywilizacyi. Żyje ona we wszystkich wyższych kulturach. Nadto wyznać się musi, że oprócz może Indyi Wschodnich albo zirańskich zwolenników pełnego łagodności Zaratustry, nigdzie nie występuje ona z tak potężną koniecznością i wszechstronną konsekwencyą, jaka się jej należy. Dlatego korzystając z dzielnej pomocy tych autorytetów, które dla wielu mogą być rozstrzygające, najlepiej jednak pewno uważać kwestyę zwierząt za kwestyę samodzielną, a nie za cząstkę przynależną i wynikającą jedynie z jednego jakiegokolwiekbądź systemu.

My przynajmniej, który jesteśmy ideowymi przyjaciółmi zwierząt, odczuwamy i pełnimy tę zasadę — lubo zewsząd jest poparta — jako zasadę niezależną, dostojną sama przez się, żywą i niezachwianą, czcigodną i ważną i chlubną. Ta zasada bywa nam nieraz pobudką w postępowaniu, uspokojeniem w wahaniu, twórczynią programów życiowych. Rola jej bynajmniej nie jest służebna, ale w hierarchii zasad naszych wysoka i książęca. Jesteśmy i zawsze być chcemy przyjaciółmi zwierząt!

Marya Mazurkówna.

Człowiek a zwierzę.

Mimo, iż świat zwierzęcy jest tak cudnem dopełnieniem niezmierzonego piękna ziemi — mimo, iż życiem swem niesie nieoceniony pożytek, bezmiar cichego trudu i pomocy, a często prawdziwej wierności i ślicznego przywiązania istnieniu człowieczemu – mimo pokorę i ciche poświęcenie, jakie w przyrodzie roztacza, posiadł go człowiek brutalnie, jako rzecz i własność swoją, bądż to siłą pięści, bądź sprytem, bądź też jak mówi, mocą swej i n t e l i g e n c y i.

Wszystkie te moce jednak, winny być wobec świata natury, do pewnego tylko stopnia używane, do pewnej miary rozciągnięte, granice której, człowiek w pysze swej, bezmyślności i okrucieństwie zupełnie zatracił i dlatego ten pokrewny, tak z nim nieodłącznie wszelką dolę dzielący, tak mu pod wielu względami bratni świat jest obcy, daleki, nieznany.

I choć często mierzy człowiek wzrok swój z wzrokiem orła, chód z szybkością gazeli, siłę muszkułów z mocą lwa, to przecież inteligencyi swej w wielu wypadkach nawet z najpośledniejszem stworzeniem mierzyć nie może. Jakież to smutnie, a jakie niestety prawdziwe!

Od trochę chociaż obłaskawionego zwierzęcia, za trochę tylko rzuconych istnieniu jego względów, może człowiek spodziewać się li wierności i przywiązania. Jednak to, co piękne a dobre tak rzadko pragną ludzie wspierać i posiadać, woląc zawsze użyteczne i przyjemne, choćby i okrutne. Ze zwierzętami tej lub owej kategoryi, obchodzą się jak z nieczułą rzeczą,

z której zysk osiągnąszy, siły jej zużywszy, odrzucają, jako bezpożyteczny sprzęt, jak zniszczony łachman, nie bacząc, że tam jeszcze tli, skarzy się i żali istnienie, na beznadziejną poniewierkę i mękę, przez człowieka skazane. Jarzmiąc, głodząc, dręcząc i wykorzystując tylko zwierzęta, czyż nie staje człowiek niżej inteligencyi, jaką posiadają one? czy czyny jego, można w wielu wypadkach nazwać inaczej niśli barbarzyństwem? O czem, jeśli nie o zwyrodnieniu i okrucieństwie świadczyć mogą, takie naprzykład hiszpańskie walki byków, angielskie walki kogutów, lub ogólnie w świecie przyjęte polowania, nie z potrzeby, lecz dla przyjemności, dla rozegnania nudów, nasycenia wzroku i podniecenia nerwów, widokiem przelanej krwi i zadanego bolu.

Oto pomimo postępu, pomimo zwycięzko kroczącej wszędzie naprzód wiedzy i cywilizacyi, przechowały się dotychczas w pewnych krajach dzikie zwyczaje, zamierzchłych czasów sięgające, zwyczaje będące dziś rażącą krwawą plamą, na wysokiej skąd inąd kulturze tych narodów. Naprzykład w Belgii, zwłaszcza w prowincyi Flandryi, odbywają się publiczne walki kogutów, które srogością swą i męczarnią tych stworzeń, są wprost straszne. Prawo belgijskie zabrania wprawdzie uprawiania tego iście szatańskiege sportu, odbywa się on jednak jak dotąd bezkarnie, pod okiem gnuśnych, czy też obojętnych w tym względzie władz. Istnieją tam nawet osobno zorganizowane związki, trudniące się specyalnie chowem i trenowaniem, przeznaczonych na występy kogutów. Pojedyncze te związki, przygotowują zawsze, do wielkiego wiosennego turnieju, około 100 sztuk, cennych i pięknych okazów, wydając je na bolesną męczarnię i śmierć, bez krzty uczucia, napawając oczy i umysły setek i tysięcy starszych, młodszych i najmłodszych widzów, rozpasaniem, krwiożerczością i dziko szalejącą radością. Każdy pojedynczy klub, poczytuje sobie za punkt honoru (!), dostawienie na miejsce boju, jak najwięcej najsprawniejszych okazów. Aby walka bardziej interesującą, bardziej zaciekłą w bolu, a dosadniejszą w skutkach być mogła, przymocowują znawcy, do nóg kogutów, długie, zaostrzone, stalowe ostrogi.

Naoczny świadek tych orgii, belgijski poeta Lemmonier, tak mniej więcej kreśli wrażenia, doznane z widoku tłumów, śledzącycb z zapartym oddechem walkę: „Dziki, okrutny wzrok ludzi, zawisł na krwią bluzgających stworzeniach. Wszystkie przejawy i zmiany walki, odbijają się automatycznie, w zawzię-

tych wyrazach twarzy i zupełnem zapamiętaniu, a przejęciu się nią widzów. Gdy walka na chwilę się przerywa, podnosi zbita, ludzka masa, krwią nabiegłe, prawie nieprzytomne oczy, gdy zawrze na nowo, wtulają się znów głowy w ramiona, a muszkuły drżą i prężą. Każdy cios walczących stworzeń, odbija się wśród tłumu głuchym, złowrogim pomrukiem, każdy zgrabniejszy zwrot i uchylenie się od razu, wrzaskiem dzikiej, nieokiełzanej radości. Walka dochodzi do kulminacyjnego punktu, do ostatecznych, najzaciętszych wybuchów napaści i obrony. Tłum ryczy, krzyczy, gwiżdże, woła zwycięzców, a przed ich oczami w drgawkach przedśmiertnych, kłębi się cała masa stworzeń, ocieka purpurą krwi, ponura, groźna arena. Twarzy ludzkich nie rozpoznać, przebiegają po nich raz po raz, jakieś okrutne, a dzikie spazmy i skurcze, każdy nerw gra straszną, opętańczą tarantelę buntu, zawiści, złych chuci i niszczenia.“

Walka skończona. Ogłaszają zwycięzców, nowy krzyk, klaskanie dłoni, tupanie nóg, i dziki, głośny, bezmyślny śmiech a radość. Jury rozdaje poszczególnym klubom nagrody pieniężne i odznaczenia, i oto koniec widowiska i zabawy.

Od szeregu lat, walczy dzielnie tamtejsze Towarzystwo ochrony zwierząt, bezskutecznie niestety, z tym dziwnym, a strasznym. zakałą społeczeństwa będącym zwyczajem. Raz nawet, podczas odbywającego się turnieju, pozwolił sobie odważny prezes wspomnianego Towarzystwa, dr. Juliusz Ruhl, wystąpić przed zebranymi, w obronie męczonych niewinnie stworzeń, przedstawiając zwyczaj ten, jako hańbę człowieczeństwa, dowodząc, jak zgubny i straszny w skutkach wywiera on wpływ na umysły, zwłaszcza młodzieży, wytykając bezmyślną poniewierkę i grzebanie najczystszych, najdelikatniejszych, szlachetnych i świętych uczuć ludzkich. I oto wtedy, podniosły się przeciw wystąpieniu jego, tak ostre a w końcu i groźne protesty, że zamilknąwszy, ledwie z życiem własnem ujść zdołał.

Nareszcie władze, które dotychczas patrzyły przez palce, na ten bujny posiew zła i zwyrodnienia, rzucany między naród, pojęły potrzebę plenienia go, i w najbliższym już czasie, zacznie się smutna sprawa polepszać. Czytamy w „Nos meilleurs amis“, że państwo wydało ostre w tej mierze zarządzenia, celem zupełnego wytrzebienia, okrutnego zwyczaju. Żandarmerya ma czuwać, by do zapowiadanych widowisk nie dochodziło, rozpoczęte ma natychmiast przerywać, a organizatorów do surowej

odpowiedzialności pociągać, konfiskując przytem cały zapas przeznaczonych do walki kogutów.

Obudziło się więc, w rządzących tym pięknym krajem, uczucie ludzkości wobec dręczonych stworzeń, obudziło się pragnienie chronienia współbraci od zaniku sęrca i dobroci. Obudziło się wprawdzie, jak na kulturną Belgię dość późno, lecz lepiej późno, niż nigdy.

Podobne, lecz w bardziej jeszcze groźniejszych przejawach, odbywają się walki kogutów i w Persyi, gdzie także do nierzadkich a lubianych widowisk, należą walki byków. Silne te ogromne zwierzęta, wyprowadzone na arenę, ustawiane bywają na 40 — 50 kroków naprzeciw siebie, następnie puszczane, a wtedy z całym rozpędem, a siłą wpadają na się, tłuką wzajem i mordują, przyczem słychać tylko straszny łoskot uderzających o siebie ciał, głuchy stuk łamanych kości, a często w trafnem a silnem zderzeniu, stworzenia te rozbijają sobie w jednej chwili głowy, na krwawą, bezkształtną masę, co dla nich w tym razie o tyle lepsze, że nie męczą się długo. Nieraz bowiem 20 — 30 razy, ustawiają biedne zwierzęta naprzeciw siebie, dotąd puszczając na wspólne, silne, a bolesne zderzenia dopóki wyczerpane zupełnie z sił, nie padną bezwładne, omdlałe z bolu, i najwyższego politowania godne.

Gdzież to się wówczas podziewa ona inteligencya ludzka ta, która w wspaniałości swej i rozumie, powstrzymać powinna człowieka, od wszelkiej brutalności, egoizmu i bezmyślności wobec świata zwierząt ta, która w poniżających dlań chwilach zaciekłości i zapamiętania, szepnąć mu powinna, że zarówno nieszczęśliwy jest każdy twór, który na ten świat przyszedł. Bowiem tak człowiek, jak i zwierzę, cierpi jednako od zrodzenia aż do skonania. Na każdym zda się kroku, czyha na nich żal i bieda, a w końcu, po wszystkich bojach, zapasach, nędzach, snach, zwątpieniach i nadziejach, czeka wszystkie istnienia zarówno, tylko śmierć, a znikomość.

Józef Białynia Chołodecki.

Gdzie jest kobieta?

(Dokończenie.)

Smutna to, niestety prawdziwa rzeczywistość, że na wsi wśród zbiorowiska świata zwierzęcego nic się nie czyni dla je-

go ochrony, dla ulgi jego cierpieniom. Z każdym dniem zmniejsza się ilość obszarów dworskich, a z nią i liczba tych inteligentnych właścicieli, którzy w myśl zasady „pańskie oko konia tuczy“ kontrolują, łagodzą brutalne postępowanie swoich sług folwarcznych.

Niebawem będzie cały świat zwierzęcy bardziej oddany na pastwę surowej, o dzikich instynktach ludności. Nietylko zwierzętom domowym, jucznym i pociągowym wyrządza brak wykształcenia ich właściciela niezrównane szkody, ale także i żyjącym na wolności stworzeniom, skoro te popadną w ręce niegodnego człowieka. Mamy tu zwłaszcza na myśli chłopaków wiejskich, łowiących drobne ptaszęta i radujących się z iście szatańską uciechą z ich mąk i cierpień. — Co się w tej mierze widzi i słyszy urąga wszelkim opisom, a kto nie żyje, nie przebywa stale wśród ludu, nie ma pojęcia o rosnącem zdziczeniu wiejskiej młodzieży. — „Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci“ — do czego chłopak za młodu nawykł, to stało się dla niego na starość chlebem codziennym, on używa bata, lagi, pałki, drąga przeciw oddanemu jego władzy biednemu zwierzęciu, niejednokrotnie w najostateczniejszy iście rozbójniczy sposób, a często bez należytego powodu „ot, tak sobie!“ — Wszak to leży w jego nawyczce, w jego krwi. Patrząc na takiego barbarzyńcę, oburza się przechodzień, toż nie dziw, że zbiera go mimowoli ochota wyrwać z rąk jego bat lub pałkę i odpłacić mu tem, czem on niewinne traktuje zwierzę. Lecz jakże małą jest liczba tych, którzy mają chęć ująć się za katowanem zwierzęciem. Jeden obawia się potoku obelżywych słów brutala, drugi terminu w policyi lub w sądzie — a interwencyi straży policyjnej nie łatwo się doczekać.

Ażeby zło wykorzenić, jedna jest najwłaściwsza do tego droga, uszlachetniać wśród chat wiejskich małe dziewczątka, późniejsze matki. Mamy wprawdzie liczny poczet szkół ludowych, lecz tam w tym kierunku niewiele, bardzo niewiele się dorobi. — Sprytniejsze, zdolniejsze uczenice przesiedlają się, dorósłszy, do miast, zrzucają barwny strój prababek, paradują z parasolką i kapeluszem na głowie po ulicach, i marzą o bezczynnem a wygodnem życiu i — staczają się do ostatniego ścieku szumowin społeczeństwa. — Jakie z tego rodzaju istot powstają później matki — znana ogólnie to rzecz, a kronika kryminalna w kierunku dzieciobójstw smutnych dostarcza nam

dat statystycznych. A dzieciobójstwa dopuszczają się te wyrodne matki nie z pobudek wstydu — wszak wstyd one już dawno utraciły, lecz z zaszczepionego na gruncie dzikiej natury egoizmu, by pozbyć się niewygodnego im ciężaru i obowiązków nałożonych na nie z tytułu macierzyństwa. — Czyż nie jest tego rodzaju istota gorszą od bezrozumnego bydlęcia?

Pedagogowie wiejscy piękne i szerokie mają w tym kierunku pole do pracy, obowiązek nie tylko uczyć czytania, pisania, rachunków i robót ręcznych, ale kształcić także serca i umysły dziatwy, dawać im poznać Stwórcę w jego tworach, obudzać miłość przyrody. — Wprawdzie nie od razu dojrzeją owoce ich zabiegów, lecz każda generacya coraz to lepszych doczeka się stosunków.

Do was kobiety, zwłaszcza do was Polki, apelujemy w tej mierze. — Delikatne, subtelne uczucie, tkliwe serca wasze wskażą wam środki, i drogi jakimi kroczyć należy. Nie braknie wam w życiu pociechy i zadowolenia, jeśli sterując pierwszemi wiosnami waszych pociech, będziecie trzymać się zasady „chrońmy dziatwę od zaniku poczucia ludzkości!“

Józef Białynia Chołodecki.

Chrońmy dziatwę od zaniku poczucia ludzkości.*)

Gdy promienie wiosennego słońca pokryją pola i łąki świeżą zielenią i kwieciem, dąży młody i stary poza mury miasta, aby odetchnąć świeżem powietrzem. I oto wtedy obudza się u dziatwy chętka do zbierania motyli, chrząszczów i innych owadów. O wartości tego rodzaju zbiorów dałoby się niejedno powiedzieć. U niektórych uczniów jest godną pochwały rzeczą wzbogacanie w ten sposób wiedzy, zyskiwanie nowych okazów dla obserwacyi i przygotowywanie się może do głębszych studyów przyrody, lecz u ogółu rozchodzi się przeważnie o zaspokojenie chwilowego kaprysu. Niejednokrotnie przemienia się chętka zbierania owadów w jakiś chwilowy szał, pod którego wpływem plądrują i trzebią malcy wszystko, co im pod ręce wpadnie, szkodliwe czy użyteczne, codzienne, zwykłe, czy też

*) Przedruk z Kalendarzyka na r. 1909 — Krak. Tow. Opieki nad zwierzętami.

niepowszednie. Nasyciwszy chwilową żądzę, rzucają oni następnie znudzeni swe zdobycze na śmiecie. Jeżeli tego rodzaju postępowanie jest godnem nagany, to o ileż bardziej złym, wstrętnym dla uczuć ludzkości jest sposób zabijania owadów. Zamiast użyć do tego chemicznych preparatów, wdziewa się schwytane owady żywcem na szpilki. Konają one zwolna wśród strasznych męczarni, a tryumfujący ze zdobyczy malec częstokroć w gronie młodszych braciszków i siostrzyczek przypatruje się jakby na widowisko, na drganie, wibrowanie na szpilce nieszczęśliwego stworzenia.

Jakże wstrętnym jest obraz dzieci, kamienujących niewinne żaby i inne płazy, ciskających dla swawoli z katapult kamyki i gruchocących niemi nóżki żerującego spokojnie ptactwa, wybierających z gniazd jaja i pisklęta, zabijających matki-żywicielki, których powrotu nadarmo wyczekuje odtąd ginąca w gniazdach z głodu dziatwa. Jakże często można widzieć uczniów dręczących koty, znęcających się nad psiętami, towarzyszących oprawcom i napędzających spłoszone psy pod ich pętlice; jakże często poruczają po wsiach nierozważni rodzice dzieciom swym misye topienia nowonarodzonych psiąt i kociąt. Radują się one wówczas, patrząc na bezowocne wysiłki ratunku, rwących się instynktowo do życia bezbronnych istot. Jak widzimy, spotyka dziatwa nasza co krok obraz dręczenia zwierząt, co krok znajduje sposobność do współdziałania, a rodzice, którzy pragną bezwątpienia szczęsnego życia i miru u ludzi dla swego potomstwa, patrzą obojętnie na wybryki pieszczochów, dopomagają im nawet w dogadzaniu zachciankom, niepomni, iż ciężko grzeszą wobec swych pociech, przyczyniając się do zaniku u nich poczucia ludzkości. W ten sposób wykształcają rodzice sami dzieci swoje jeśli nie na przestępców i zbrodniarzy, to na samolubów bez czucia i serca, a w dalszej konsekwencyi na ludzi ogólnie nielubianych, unikanych, a nieraz i pogardzanych.

Sam patrzałem w życiu mem na taki odstraszający przykład, a mogę zapewnić czytelników, iż podany poniżej szkic nie jest obrazem fantazyi lecz szczerą rzeczywistością.

Bolko — takie imię nosił ów chłopak — oczko w głowie u babuni i dziadzia, rozpieszczone, rozgrymaszone do niemożliwości, zaczął od obrywania skrzydeł muchom, które następnie łaziły niedołężnie po podłodze, meblach, pchały się do naczyń,

obudzając wstręt wśród otoczenia. Babunia tolerowała tę „niewinną“ zabawkę malca, później cieszyła się celnością jego strzałów z katapulty, a w końcu widząc wielką chętkę Bolka i umiejętność „bawienia się zwierzętami“, nabyła do jego dyspozycyi dwoje małych psiąt. Jakie te biedne stworzenia cierpiały męki i katusze, trudno naprawdę opisać. Miętoszenie, duszenie, kopanie, podrzucanie do góry, szarpanie za ogon, za uszy, dmuchanie w nos i w oczy, wieszanie za nogi i t. p., oto ulubione rozrywki Bolka. Jęczące, skomlące, wyciągał on przemocą pieski z pod łóżek i z kryjówek, silił się formalnie nad pomysłami ich dręczenia. Starsi o parę lat od Bolka poszturchiwaliśmy go nieraz pod wpływem oburzenia za te wybryki, lecz nasza interwencya nie skutkowała wobec opiekuńczych skrzydeł nierozsądnej babki.

„Ten chłopiec źle kiedyś skończy“ — mawialiśmy między sobą, a i do uszu babki dochodziła niejednokrótnie ta uwaga. Niestety rychło spełniła się nasza przepowiednia.

Bolko bez serca dla zwierząt, począł niebawem być obojętnym na prośby, łzy i cierpienia babki. Podrósłszy w lata (lecz nie w wiedzę szkolną — uczyć się bowiem wcale nie miał ochoty), okradł swych dziadków i uciekł z domu. Przywrócony do łaski, umieszczany następnie trzykrotnie na odpowiednich jego wiadomościom posadach, popełniał po trzykroć defraudacye lub kradzieże, po trzykroć siedział w kryminale, łazil po ulicach Lwowa odziany w strzępy gałganów i wyciągał rękę po jałmużnę, wkońcu zmarł przedwcześnie jak ostatni nędzarz, przyjęty z litości do szpitala SS. Miłosierdzia.

Iluż to kręci się wśród nas takich „Bolków“, którzy szli „od rzemyczka do koniczka“. Pomnijmy w tej mierze pięknych słów amerykańskiego pedagoga: „siejcie życzenia — będziecie zbierać czyny, siejcie czyny — będziecie zbierać zwyczaje, siejcie zwyczaje — będziecie zbierać charaktery, siejcie charaktery — będziecie zbierać życie.. całego społeczeństwa i narodu“.

R. K.

Listy z Krakowa.

II. zwyczajne „Walne zgromadzenie członków krakowskiego Towarzystwa opieki nad zwierzętmi“ odbyło się dnia 14. lutego

b. r. w lokalu Towarzystwa przy ul. Batorego l. 20. Zagaił przewodniczący Dr. Kazimierz Lubecki, poczem przystąpiono do wyborów. Do wydziału wybrano pp. Józefa A. Drozdowskiego, urzędn. asek., Amalię Kološvary, Romana Kukawskiego komisarza skarbu, szamb. Dr. pr. i fil. Kazimierza Lubeckiego, literata, Jana Matyasika, dziennikarza, Alfreda Obermayera, urzędnika bankowogo, Franciszka Polaka, nauczyciela, Dr. Maurycego Straszewskiego, prof. uniwers. Witołdową Szeligową i Teresę Witowską; w skład komisyi kontrolującej weszli pp. Bolesław Szukiewicz, dyr. Towarzystwa ubezp. jako przewodniczący, Tadeusz Bal, słuch. medycyny i Witołd Szeliga, urzędn. asekur. Po sprawozdaniu komisyi kontrolującej, wykazującem pozostałość kasową z r. 1908 w kwocie 164 K, udzielono dotychczasowemu wydziałowi absolutoryum, poczem przystąpiono do wniosków. Uchwalono zgodnie z przedłożeniem wydziału zmianę statutu, umożliwiającą przystąpienie do Towarzystwa oficerów i urzędników wojskowych, oraz przelanie do funduszu żelaznego kwoty 400 K, jaka wpłynęła od członków założycieli. Po kilkugodzinnej ożywionej dyskusyi na temat różnych wypadków dręczenia zwierząt, polecono nowemu wydziałowi, aby jak najrychlej zajął się sprawą rekonstrukcyi rakarni miejskiej i zmiany dotychczasowego ohydnego sposobu zabijania psów zapomocą pałki.

Nowy wydział ukonstytuował się na posiedzeniu odbytem dnia 16. b. m. Prezesem wybrano ponownie przez aklamacyę Dr. K. Lubeckiego, zastępcą prezesa R. Kukawskiego, skarbnikiem A. Obermayera, sekretarzem F. Polaka.

Przez ostatnią, bardzo ruchliwą działalność ustępującego wydziału, zyskało Towarzystwo nasze życzliwość we wszystkich sferach, czego dowodem cały zastęp nowych członków. W ostatnim miesiącu przystąpili do Towarzystwa pp. Mieczysław kniaź Jurjewicz i Marya z hr. Zamojskich Popielowa, jako członkowie założyciele, p. Janina kniaź. Jurjewiczówna, jako członek wspierający, oraz 36 członków zwyczajnych. Do tego przyczyniło się także wiele uzyskanie przez Towarzystwo nasze tego, na co nawet Wiedeń od szeregu lat napróżno oczekuje; mam na myśli zniesienie obowiązującego w Krakowie od czterech lat przymusu kagańcowego i przedłużenie z trzech na 48 godzin terminu zabijania psów, schwytanych bez kagańców w tych wszystkich galic. miejscowościach, w których epidemia wścieklizny stwier-

dzoną została urzędownie. Ponieważ, jednak ani powiatowa ani miejska władza sanitarna, nie obwieściły tego publicznie, przeto wielu krakowskich właścicieli nie zwalnia psów swych od kagańców, oczekując prawdopodobnie nadaremnie urzędowej proklamacyi swobody, oddawna naszym pieskom należnej. Zadziwia jednak, że oprawca miejski nie został wcale uwiadomiony o cofnięciu nakazu bezwłocznego zabijania schwytanych psów; dopiero w 8 dni po prawomocności dowiedział się on o tem rozporządzeniu z komunikatu zamieszczonego przez nasze Towarzystwo w dziennikach krakowskich. Zaiste, dziwne niedbalstwo, pociągające za sobą bezpotrzebną śmierć dziesiątek istot żyjących!

Na skutek memoryału uchwalonego przez niedawne zebranie krakowskich właścicieli psów, samowola miejskiego oprawcy została podobnie znacznie ukróconą. Czas najwyższy, bo to, co działo się dotychczas, urągało wprost względom kulturalnym, powadze naszego miasta, rozporządzeniom rządowym i instrukcyi dla oprawcy. Jeden z członków naszego Towarzystwa pisze nam, że przesiedlił się z Krakowa do Cieszyna li tylko z tego pdwodu, że wtrętnym mu się stał ciągły widok oprawców. W istocie najobojętniejszy dla zwierząt mieszkaniec miasta, nie mógł się oswoić z widokiem budki oprawcy przejeżdżającej o każdej porze dnia, cwałem najludniejsze ulice, a zatrzymującej się na widok psa; sznury przelatywały ponad głowami przechodniów, padały pod nogi, na chodniku rozpoczynała się walka ze schwytanym psem, przeplatana przekleństwami w kierunku zwierzęcia, które nie objawiało ochoty dostania się w tak pewne ręce i w kierunku osób, które nie obawiając się tego, że sznury spaść mogą na ich karki, nie usunęły się wczas, udaremniając przez to schwytanie psa, ściganego następnie w sieni domu, w podworcu, w klatce schodowej a nawet w mieszkaniu prywatnem(!), a nadużyciom tym nie kładziono tamy pomimo głosów oburzenia w prasie i częstych demonstracyjnych zajść ulicznych. Obecnie — jak mnie informuje oprawca miejski p. Biliński — łapanie psów niezaopatrzonych w znaczki opłaty podatkowej, odbywa się tylko wczesnym rankiem, za pomocą pętli drucianych, okręconych skórą (t. zw. maks); asystuje on swoim pomocnikom, by zapobiedz nadużyciom, za które później niesłusznie (!) pociągają go do odpowiedzialności. Według tego

opowiadania nastały idealne czasy dla piesków, cóż kiedy do Towarzystwa wpływają ciągle doniesienia o nadużyciach.

Nowy wydział Towarzystwa, rozpoczął pracę według z góry ułożonego, obszernego programu, obejmującego oprócz zadań piekących a znanych każdemu przyjacielowi zwierząt, także szereg wydawnictw, mających na celu propagandę idei dobroci i dobrego obchodzenia się ze zwierzętami; pierwsze dwa tomiki wydawnictwa zostały już oddane do druku. Trudną do zapełnienia będzie luka, powstała w wydziale wskutek ustąpienia b. wiceprezesa, lekarza weterynaryi p. Jakóba Silbermana, którego działalność, zwłaszcza w ostatnich czasach okazała się bardzo pożyteczną dla dobra zwierząt i Towarzystwa. Ustąpienie nastąpiło z powodu przeciążenia pracą zawodową i dalszych studyów w dziedzinie weterynaryi i medycyny.

Zdawna zapowiedziany zjazd przyjaciół zwierząt, odbędzie się prawdopodobnie w miesiącu maju b. r.

Kraków, w lutym 1909.

---

†

Erazm Józef Dołęga Jerzmanowski, członek założyciel krakowskiego Tow. opieki nad zwierzętami, znany filantrop, przeżywszy lat 65 zmarł dnia 7. lutego 1909.

Wyprowadzenie zwłok z domu żałoby w Prokocimiu na cmentarz krakowski odbyło się dnia 10. lutego 1909 o godzinie pół do 10-tej rano.

Hrabia Montalembert
Członek Akademii francuskiej.

„Mnisi na Zachodzie“

Tom II. Rozdz.: Mnisi i zwierzęta leśne i Tom III. Rozdz.: Św. Kolumban apostoł Kaledonii).

Tłumaczył z francuskiego **Dr. Kazimierz Lubecki.**

(Ciąg dalszy).

Na wybrzeżach Morza Śródziemnego, Grek pewien szlachetnngo rodu, imieniem Idzi, przybył w młodości swej śladami Łazarza i Magdaleny w pobliże ujścia Rodanu i tam mieszkał

na ustroniu, schowanem w głębi olbrzymiego boru, żywiąc się jedynie mlekiem łani, która przychodziła sypiać do jego groty. Ale pewnego dnia król onej krainy, który się nazywał według jednych Hildeberg, król Franków, według drugich Flawian, król Gotów, udał się na polowanie w tamte bory, a łania ścigana była przez łowców aż do samej groty i tam nawet jeden z nich puścił za nią strzałę, która przeszyła rękę pustelnika, wyciągniętą ku osłonięciu towarzyszki...

Ten sam rys napotyka się w legendzie o świętej Nennoce, młodej i pięknej królewnie bretońskiej, która wyrzekła się męża, swatanego sobie przez ojca, i powędrowała do Armoryki i tam poświęciła się życiu klasztornemu. Tamtejszy książę, ścigając jelenia w pobliżu jej klasztoru, widzi, jak to zwierzę, obumarłe ze znużenia, dostaje się do poświęconej zagrody, sfora psów zatrzymuje się w pędzie i nie śmie tam przejść. Zsiada więc z konia, wchodzi do kościoła i znajduje tam jelenia spoczywającego u stóp młodej ksieni wśród chóru zakonnic, śpiewających officium...

Król Lotar II., stawszy się władcą monarchii frankońskiej, przybył na łowy do lasów, należących do dominium nadsekwańskiego i tam gonił olbrzymiego dzika aż do kapliczki, gdzie mieszkał sędziwy mnich irlandzki, Deikolus, przybyły do Gallii ze świętym Kolumbanem; wzruszony widokiem dzikiej bestyi, leżącej przed ołtarzykiem, gdzie modlił się świątobliwy samotnik, uczynił mu darowiznę z tego wszystkiego, co należało do skarbu państwowego w okolicach jego celki. Po przyjęciu darowizny, mąż Boży, który temu dzikowi zabezpieczył życie, dopilnował, ażeby mógł się swobodnie oddalić i ukryć w głębiach leśnych.

Wielcy wasalowie, tak samo namiętni i tak samo ustawicznie zapaleni do polowania jak królowie, spotykali się również jak i oni, z wystąpieniami mnichów, broniących zwierząt, gości swych celek. Bazolus, pochodzący ze szlachetnej krwi w Limuzyi, założyciel klasztoru w Viergy w górach pod Rheims, zbudował sobie w zaciszu leśnem komórkę, w której jedynym sprzętem był mały pulpit, przecudnie rzeźbiony na Pismo Święte które nieustannie rozpamiętywał. Pewnego razu został zaniepokojony w swej modlitwie przez kolosalnego dzika, który przypadł mu do nóg, jakby błagając o życie. Tuż za bestyą przyjechał na koniu jeden z najmożniejszych w okolicy panów

imieniem Attyla, którego samo spojrzenie pustelnika powstrzymało i przykuło do miejsca. Był to w gruncie rzeczy człowiek niezły — mówi legenda — chociaż myśliwy; dał tego dowód zaraz, ofiarując mnichowi wszystko, co było jego posiadłością w otoczeniu domku mnicha. W cztery wieki później pamięć tego była tak żywą, że na mocy umowy, skrupulatnie dotrzymywanej, zwierzyna, ścigana w lasach pod Reims, jeżeli tylko dotarła do małego gaju, nad którym wznosił się krzyż pamiątkowy św. Bazolusa, zawsze stawała się wolną od pościgu.

Jak jego wielcy bracia na Wschodzie, tak i św. Benedykt, patryarcha na Zachodzie, ma swego oddanego ptaka, który jednak nie przynosi mu żywności, ale o nią prosi. Święty Grzegorz Wielki w życiorysie tego męża opisuje, że będąc jeszcze w pierwszym swoim klasztorze w Subiaco przylatywał do św. Benedykta przy każdem jego posilaniu się kruk z sąsiedniego gaju, którego karmił z ręki.

Te cytaty pobożne, przepisane przez największych geniuszów, jakich Kościół posiadał, usposabiają nas do słuchania bez zdziwienia wielu innych wzmianek, świadczących o najściślejszej zażyłości mnichów ze stworzeniami.

(Dok. nast.).

W celu badań naukowych morskiej fauny.

Wybierają się z wiosną b. r. do Włoch dwaj profesorowie lwowskiego uniwersytetu a to: Dr. Józef Nusbaum-Hilarowicz profesor zoologii i Dr. Kazimierz Kwietniewski profesor anatomii porównawczej.

Z dwóch istniejących we Włoszech miejscowości, do badań nad fauną morską, zostało laboratoryum w Messynie zniszczone trzęsieniem ziemi w grudniu 1908, stacya w Neapolu, zaś do której właśnie mają wyjechać nasi badacze przyrody, założona przed 35-ciu laty przez Niemca Dorna, ożenionego z Polką Baranowską z Lubelskiego cieszy się potężnym rozwojem. Duszą tej stacyi jest niejaki Salvatore Lo Bianco, który rozpoczął swoją karyerę od służby chłopaka do nosze-

nia morskiej wody, doprowadził zaś niebawem do tak dokładnej znajomości samej fauny, iż wielkie oddaje w tym kierunku usługi uczonym. Wszechnica neapolitańska zamianowała go *honoris causa* doktorem nauk przyrodniczych.

Międzynarodowa wystawa łowiecka.

W Wiedniu odbędzie się w roku przyszłym pierwsza międzynarodowa wystawa łowiecka w Rotundzie i na otaczających ją gruntach Prateru. Prawie wszystkie państwa oświadczyły, że przyjmą udział w wystawie i we wszystkich krajach utworzyły się komitety, których zadaniem będzie poczynić starania, ażeby łowiectwo było godnie przedstawione na międzynarodowym popisie. W ogólnych zarysach plany i organizacya całej wystawy są już ukończone. Naokoło wielkiego stawu będą się wznosić pawilony, mieszczące wystawę sportu łowieckiego oddzielnych państw. Tutaj też będzie zbudowany pawilon rządowy austryacki i pawilony węgierski i bośniacki. „Clou" całej wystawy, będzie wierna kopia cesarskiego zamku myśliwskiego w Mürzstegu. Na czas trwania wystawy łowieckiej, oryginalne urządzenia zamku w Mürzstegu, będą za pozwoleniem cesarza przewiezione do Wiednia. Ministerstwo robót publicznych, ministerstwo handlu, ministerstwo kolei żelaznych, Austrya Dolna i Wiedeń zgłosiły swe własne pawilony, które, również uwzględnią handel, przemysł i rzemiosła.

Do głównego komitetu wystawowego, który niebawem się zawiąże, będą należeć przedstawiciele władz państwowych, krajowych i miejskich, dalej przedstawiciele zainteresowanych towarzystw, korporacyj i instytucyj, wreszcie osobistości, mogące poprzeć przedsiębiorstwo jako powagi w dziedzinie sportu, łowiectwa, sztuk pięknych, przemysłu, rolnictwa i leśnictwa. Na wiosnę rozpocznie się budowa pawilonów, rozpisano również konkurs na afisz.

Przystąpiły do Towarzystwa: Wpp. Wanda Millerówna i Natalia Niwińska we Lwowie.

Nakładem Towarzystwa. — Z drukarni i litografii Pillera, Neumanna i Sp.